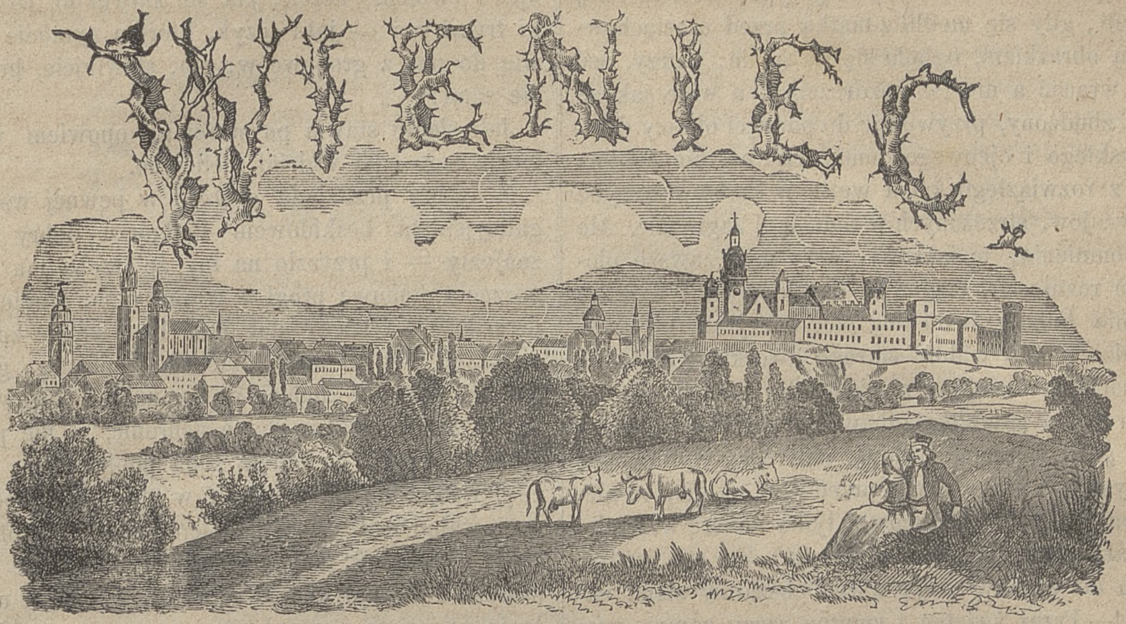
Nr. 16. Sierpień. 1862.



DWUTYGODNIK LITERACKI.

Wychodzi w Krakowie w połowie i na końcu każdego miesiąca w objętości najmniej 2ch arkuszy—do których raz w miesiąc dodają się tablice z krojami, wzorkami i deseniami. Prenumerata w miejscu kwartalnie 1 zł. 50 cen. w. a., półrocznie 3 zła.— rocznie 6 zła.— Dla prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie 2 zła.— półrocznie 4 zła.— rocznie 8 zła.—W królestwie pruskiem z przesełką pocztową: kwartalnie 1 Tal.,—półrocznie 2 Tal.,—rocznie 4 Talary.—Prenumerować można w **Redakcyi** w Krakowie przy ulicy **Szerokiej** pod L. 486 **Isze piętro**— w **Administracyi** dziennika **„Czas“** i w księgarni **Baumgardtena.** — Miejscowi odbierać mogą **Wieniec** w Ekspedycyi „Czasu.“-- **Listy niefrankowane nie przyjmują się.**

GAWĘDKA

przez

Józefa Łepkowskiego.

Żeby nie pewność, iż owo odszukiwanie, badanie i spisywanie tego, co z przeszłości zostało, nietylko u nas się upowszechnia, ale jako właściwość naszego stulecia w całej dzieje się Europie; żeby mówię nie to przeświadczenie, że nie my tylko sami przeszłością żyjemy,— smutno i gorzko byłoby pisać lub czytać te jakoby inwentarze po umarłych, które badaniami archeologicznemi zowią. Tem przykrzej pomyśleć, że się żyje w czasach, w których giełda świątynią, szlachetność w herbarzu, wielkość w dziejach, sztuka w zabytkach tylko.

To znamie pieniężne, przemysłowe, stulecia naszego, nie jest przecież tyle strasznem, jeźli zważymy, że nie giełda, da Bóg, będzie ostatnim wyrazem wieku tego. Dziś nie wyrobił on sobie jeszcze charakteru, aby go określić, podając o nim wyrok dziejowy.

Ośmnasty wiek zostawił pustkę duchową, wyparł się chrześciaństwa, a nie umiał nawet tam stanąć, gdzie się wzniósł pogański klasycyzm. Trzeba nam więc pierw za stare grzechy odpokutować, żyjąc w czasach przechodowych, w chwilach, w których się waży w łonie Europy, to co ma być rezultatem stulecia naszego. Na początku tego wieku znaleźliśmy się bez tradycyi, zapomniawszy nawet o tem co święte było dla przodków; wypadło tedy wiązać zerwany łańcuch, wrócić z pustek na uprawną rolę, aby przyszłości bogatą odzyskać spuściznę. Ztąd owo krzątanie się w badaniu i zachowywaniu pamiątek, ztąd to wpatrywanie się w symbole, co znów żyją, gdy myśli ich odgadniem. Powrót to naturalny i z tego względu, że wiek XVIII postawiwszy świątynię rozumowi zamiast Bogu, zbuntował się przeciw woli Najświętszej, gwałcąc nawet prawa jakie Opatrzność zakreśliła przyrodzie. Toć stulecie zeszłe, co na głowy włożyło peruki, twarze ubieliło i pomalowało jaskrawemi barwy—nawet drzewom w ogrodach nie pozwoliło rozwijać się wedle woli Bożej, ale je w szpalery pocięło.

Bardzo też bardzo rozeszliśmy się z kościołem i obyczajem starym,— zginął między nami klucz do tłumaczenia przeszłości naszej. Zdarzy się widzieć katolików w kościele, co świętych nazwać i od innych odróżnić nie umieją, patrzących z wlepionem okiem na obrzędy, których głębokiego znaczenia nie rozumieją; bo symbole mówić do nas przestały. Są, co jako źli malarze kreślą bohoma-

zy, a każą wierzyć że to wizerunki przodków naszych. Wyglądamy w obec przeszłości narodu, jakoby marnotrawny syn, co przypomnieniem owej chwili, gdy się modlił z matką przed częstochowskim obrazkiem, ogląda się na siebie; patrzy, żeć mu wracać a nie iść bezdrożem— a więc jak ze snu zbudzony, przywołuje do pamięci obrazy dziadowskiego i ojcowego domu. Trudno, niepodobna mu z rozwiązłego życia wejść w karby surowych obyczajów, strzeżonych w rodzinnej zagrodzie. Ale wspomnienia, te iskierki, co z nich zawsze płomień rozniecisz, ciągną go ku domowi. Wiecie, co złamie hulakę i do nóg stroskanej matki przywiedzie? Oto widok starego dworku, wieżyczka kościelna strzelająca z wieńca lip i dębów, krzyż podróżny i pamiątki zabawek dziecinnych, pogodzą go z dawnem życiem, nawrócą, wytłumaczą wszystko, i same ożyją przed tem okiem, co niedawno w siedzibie ojcowej tylko śmierć widziało.

Jakież to wymowne te krzyże, co na rozdrożach od wieków stoją wśród obszarów ziemi naszej!— Przez świetne i smutne czasy zawsze proste wskazywały nam gościńce; zostały przecież same w polach, bośmy gdzieindziej drogi zwrócili. Krzyż na rozstajnej drodze, przed którym pierzchają wśród nocy czarci, co podróżnemu tumanią gościńce, znana ci figura w polu, gdzieś zawieszał wieńce z bławatów lub wychodził naprzeciw wracającym do domu krewnym, gdzieś się witał lub żegnał,— krzyż taki umie do głębi serca przemówić, uspokoić, pogodzić z losem nawet wtedy, gdybyś wracając do wsi rodzinnej znalazł pustkę w starym dworze. Nie było komu dbać o niego: ukrzyżowana postać upadła, spruchniałe ramie skrzypi, na jednym kołysząc się gwoździu, a szmat koszulki zmarłego dziecka powiewa z omszonego słupa. Takieć to podobno krzyże w ruinie, znaczą teraz drogi po ziemi naszej.

Gdy od południa lub zachodu, z krajów, gdzie budowle z kamieni i marmurów, zbliżasz się ku północy, gdzie tylko cegła ozdobiła pańskie świątynie; zobaczysz wreszcie chaty drewniane słomą szyte i krzyże przy drogach — to Słowiańszczyzna! Powitasz krzyż jak słońce po długiej niepogodzie. Choć drewniany i spruchniały, przecież po swojsku zagada do ciebie, — i będzie ci rzewno jak było niegdyś panu Paskowi i towarzyszom jego, kiedy wracając z Danii, na widok pierwszych chat ze strzechami, zaśpiewali chórem: *O gloriosa Domina!* padając na ziemię miłej ojczyzny.

Archeologia ma nam nietylko spisywać inwentarze owych krzyżów i pomników, ale jako nauka co dalekowidnem okiem w przeszłość patrzy, co groby pochodnią swoją rozświeca; winna wlewać życie we wszystko, co piękne a zmartwiałe. Iskry i promienie znoście z świetnej przeszłości naszej, aby zimne pokolenie zagrzać się mogło ciepłem ojców swoich— uczcie, jak się stawia to, co wieki trwać ma — jaki język, którym symbole mówią do nas z grobowców: oto, stawiajcie, budujcie sami!

Jak się to stawia po staremu, opowiem wam wedle tego com widział niedawno.

Z dziada pradziada siedział w pewnej wsi na galicyjskiem beskidowem Podgórzu dobry mój znajomy — i przyszło na to, że trzeba mu było porzucić domowe progi a w obczyźnie długie lata przesiedzieć. Kiedy dał Pan Bóg wrócić znowu do pługa, wszedł nasz szlachcic w pustkę, gdzie ani miejsca nie znalazł w komnatach ojcowych, aby przed deszczem głowę uchronić. I nie przeląkł się ruiny, bo młoda żona popłakawszy trochę, wzięła się rozkoszować w cudnej przyrodzie, pocieszając nędzę swą nadzieją, że Bóg pobłogosławi. Urządził tedy jegomość tymczasowe mieszkanie z dawnej kuchni i pralni, a jejmość ubrała je kwieciem i wesołą twarzą swoją, poddając się woli a dopuszczeniu Bożemu.

Po kilku latach tego życia trudu i cierpienia, stało się, że dostatek wrócił znów do zagospodarowanej wioski. Śpichrz i stodoła już nieprózne, a ślady pustki zniknęły. Trzeba budować dom, boć jest czem gościa przyjąć i schówka na niejedno potrzeba. A więc do głowy po rozum, na wieś po cieślę, do lasu po drzewo — i już jest wszystko, czego trzeba, aby stanął dwór. Że gospodarz pamiętał, iż ludzie w Polsce od ośmiu wieków porządnie w domach mieszkali, i doświadczeniem tak sobie już owo budownictwo wykształcili, że tylko tradycyi popytaj i na modrzewiowy dworzec spojrzyj, a wiesz, jaki to rozkład nadaje się gościnności, a jaka ozdoba godzi się z klimatem naszym: a więc ani mu przyszło do myśli, żeby podług *wiejskiego budownictwa* (Alexandra Zabierzowskiego) stawiać pod Beskidem dworek szwajcarski, lub go krojem angielskim fundować. Stanął tedy dom nowy i zastósowany do potrzeb dzisiejszych; ale widać w nim to wszystko stare i polskie; czegoby się jakiś odległy przodek nie wyparł. Wszedłszy do tych komnat, alkierzów, niż i alków, nie potrzebowałby się pytać kontuszowiec: czy on do Holandyi, Szwajcaryi lub też do polskiej wsi zajechał. Po krawędziach szczytowo ściętej facyaty, popięły się esoire ozdoby, cechujące styl przejścia z ostrołuków w odrodzenie; nad wyższym gankiem bogato zdobne łuki zawisły pięcioma guzami, tworząc jakby baldakin, owo symbolizowanie szlacheckiej korony, pod której cieniem kosmopolityzm nie wypali tradycyi, a sąsiad i obcy gościnny znajdą przytułek. Co już dolny przedsionek, to szeregiem rzniętych

pękatych słupów rozsunął się poważnie przez całą długość domu, odsłaniając wrota— zda się, że słyszysz z nich głos poety:

„I ta strzecha choć uboga,
Chociaż nizka, przecież blizka,
Dla obcego i dla swego.
I od Boga aż do wroga,
Jest tu miejsce dla każdego.“

Takie tu wszystko proste, niewymuszone, a przecież swojskie i piękne! Niema tu bogactwa, coby ci opowiadało, że sumy wyszły na budowę; owszem, jeżli nie masz w duszy zasobu tradycyi i gustu, którymbyś pokierował rękę górala co rzeźbami te słupy ozdobił, i sieni nie wystawisz za te pieniądze, co cały ten dworzec kosztował. Takie stawianie, to archeologia! ale nie owa, co inwentarzem jest, a mniema że życie rodzi.

Kiedy już sprzęty zapełniły nowe komnaty, a zacny właściciel miał wejść na mieszkanie pod nowy dach, trzeba było, aby kapłan rzekł: „Niech aniołowie pańscy staną u wrót domu tego, a strzegą w nim pokoju i błogosławieństwa, które w Imie pańskie niechaj spłynie tu.“ A więc przed czołem domu, nad sadzawką co się wysunęła z pod lasu, umyśliła jejmość zawiesić na ogromnym dębie kapliczkę z wizerunkiem NMPanny, oddając jej w opiekę siebie i dobytek swój. Gdy tedy piękny obraz na złoconej wzorzystej blasze zajaśniał z pośród gotyckich rzeźbionych koronek, a Bogarodzica mile zeń z pod konarów olbrzymiego drzewa na dworzec spojrzała,— poproszono X. proboszcza, aby przybył poświęcić dom i kapliczkę.

Było to w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego. Ksiądz po kazaniu zapowiedział gromadzie, że po nieszporach pójdzie święcić figurę przed dworem i wprowadzi dziedzica do nowego domu. Nikt prawie z sąsiadów nie wiedział przedtem, jaka w ten dzień uroczystość ma się stać w nowym dworze; przecież jakoś wypadło, że bryczki i kolasy zajechały pod ganek, stało się ludno, strojno a świętalno. I mnie przyszło być świadkiem pięknej chwili, o której znów przychodzi powiedzieć: to archeologia! bo po staremu a z poczuciem tego, co piękne w przeszłości.

Koło 6tej po południu ujrzeliśmy zdala bielące się na drodze gromady ludu, a niebawnie i śpiew rozległ się po polach. Wyszliśmy wszyscy aż ku granicy dworskich łanów, powitać kapłana przybywającego w procesyonalnym pochodzie.—Przed dziedzicami rozstąpiły się tłumy, a ksiądz proboszcz powitał ich udzieleniem do pocałowania pacyfikału. Z całym orszakiem zbliżyliśmy się do dębu, na którym zawieszano kapliczkę, właśnie kiedy brzmiała piąta zwrotka hymnu do Najświętszej panny:

„U Twego, Matko, klękamy tronu,
Boś jako cedr jest wywyższona,
Jako palma pustyni a cyprys Syonu,
W ozdoby Nieba Pani uwieńczona“...

I zabielił się szeroko, daleko, lud w świętalne strojny szaty— w pośrodku gromad stał wiekowy dąb, jakby istny tron Bogarodzicy, imponując majestatyczną wielkością swą; a na nim z pod konaru co się pochylił ponad dwór i sadzawkę, jaśniał obraz oświecony wprost nań patrzącem słońcem. Wreszcie zabrzmiała ostatnia strofa:

„Uproś wiarę, miłość i nadzieję,
Stałość w cnocie, w dobrem trwanie,
A gdy śmierć ziarno zguby sieje,
Daj, o Boże zlitowanie!“

A kapłan kropidło wzniósł ku obrazowi—stała się cisza— wszystko było na kolanach; a pewno w czasie tej modlitwy anieli unosili się koroną nad odwiecznym teraz uświęconym dębem.

Rzesze nuciły dalej:

„Witaj Królowo Nieba i Matko litości!“. etc.

A Ksiądz proboszcz wszedł do dworu powitany przez dziedziców w progu, chlebem i solą — poświęcił dom, kończąc życzeniami od siebie. To wszystko tak było uroczyste, rzewne i pełne głębokiego znaczenia, że wszyscy obecni milczeli, choć już ksiądz złożył strój obrzędowy, a panie na kanapie zasiadły. Rozmowa nie szła, bo jej nikt nawet zacząć nie umiał. Lecz czegóż nieodgadnie niewinnie naiwna panienka?— Znalazła się też co zrozumiała, a raczej przeczuła, gdzie to czasu takiego zawieźć można ludzi. Do nieba wtedy pójdą, niech ich tylko ma kto poprowadzić!— Siadła do fortepianu.... i jakby z pod natchnionych palców popłynęło siedm słów Hejdena.... Nic nie mogło być stósowniejszem do tej chwili, kiedy słońce ostatnie promienie ciskało na śpiewające pod dębem gromady — gwiazdy zapalały się na niebie, a lampa przed obrazem Maryi błyszczała, niby nowa siostra, co do tych niebieskich przybyła. Wreszcie gdy ucichł fortepian i śpiewy zamilkły, turkot odjeżdżających powozów przypominał tylko, że było przed chwilą tłumno we dworze, zkąd goście z uroczystością w sercach odjechali. Stała się znów cisza świętalna. Przed kapliczką migotała lampa — ktoś jeszcze szeptał *Anioł Pański*— a jejmość klęczała w głębi górnego ganku, dziękując Bogu za tak piękny dzień.

Powiecie: żem może słowami ubarwił opis ów? Nie, jabym podarł pismo, gdybym wiedział, że znajdę wyrazy, któremibym mógł oddać co czułem w chwilach tych. Był to obraz malowany promieńmi słońca, gwiazdąmi zasiany, a modlitwa wonią swą zaprawiała powietrze. To co wam daję, to tylko niezgrabny rysunek.

I zkądże się bierze, że pod Beskidem są tacy ludzie, co tak jak waćpan piszesz, archeologią rozumieją?

Oto, w okolicy tej budują dwa kościoły — jest tam odpustowe miejsce, stare dwa grody, wreszcie kilka bibliotek w dworkach szlacheckich, — pobożne kobiety i kapłani, dobry lud, uczciwa drobna szlachta i ze trzech panów uczonych. Z takiego materyału można wiele pięknego stworzyć.

Dzięki więc Niebu, że kiedy się walą krzyże przy drogach, tu nowa na dębie stanęła kaplica!

Zemsta kobiety.

Powieść Kowatsa Pál

przełożona z węgierskiego

przez

W. z L. S.

(Ciąg dalszy).

Z początku zdawało się, że zmiana w ich domowem życiu korzystne wywiera wpływy; Ladar bowiem zaprzestał oddawać się ponuremu dumaniu, chumór jego stawał się weselszym; począł zajmować się polowaniem, jeżdżeniem konno. Serafina cieszyła się, iż plan jej pomyślny odniesie skutek. Przekonanie to atoli wkrótce znikło; bo ten powrót nagły do spokojności, był tylko poprzednikiem gromadzącej się burzy! — W takim stanie były rzeczy, gdy grono odwiedzających dom Ladara oficerów, pomnożone jeszcze zostało przybyciem jednego, który cotylko powrócił z zagranicy. Był to rotmistrz Czermeli, człowiek odznaczający się wykształceniem i posiadający w wysokim stopniu szacunek przełożonych i przyjaźń współtowarzyszów. Temperament jego szczególnej od lat kilku podpadł zmianie; jak bowiem dawniej liczono go do grona najweselszych w pułku, tak teraz umysł jego osłoniła mgła smutku. Przyjaciele jego długo nie mogli dociec przyczyny tej zmiany; raz przypisywali ją nieszczęśliwej utajonej miłości, to znów przykrym stosunkom rodzinnym zanadto jednak szacowali Czermelego, ażeby się ośmielili zgłębić stan wewnętrzny duszy jego, który on jak się zdawało, usiłował pokryć tajemnicą.

Gdy po raz pierwszy wprowadzono go w dom Kegiendego, Ladara na widok tego nowego gościa przejął był dreszcz mimowolny — ponura powierzchowność tego nieznajomego, w sprzeczności z dziwnie iskrzącemi oczyma, wyraz pogardy około ust, na obliczu zaś obok smutku jakaś piekielna malująca się radość, a które wydawało się Ladarowi jakby znane niegdyś — przytem w obejściu odznaczająca grzeczność, wszystko to razem tak dziwnie działało na umysł Ladara, że na widok Czermelego pobladł mimowoli. Starał on się następnie oswoić z tem niezwyczajnem obliczem — głos jednak cichy, wewnętrzny, szeptał mu: że na niem wyryta jest przepowiednia zniszczenia jego ziemskiego szczęścia. Wzdrygając się więc mimowoli za każdem tamtego przybyciem, nie mógł on jednakże bez przyczyny jawnej zabronić wstępu do swego domu nowo przybyłemu rotmistrzowi, gdy z taką gościnnością przyjmował w nim od kilku miesięcy towarzyszów jego. Ladar więc ten wstręt swój nieodgadniony pokrywając zręczną polityką, tego jednakże niemógł wymódz na sobie, żeby odwiedzin Czermelego, które coraz częstszemi się stawały, nieprzyjmować z lodowatą oziębłością.

Czermeli jednak był tylko dla samego Ladara istotą postrach wzniecającą, wyjąwszy bowiem melancholii, która go czasami obarczała, był on, szczególnej w towarzystwie kobiet, jednym z najprzyjemniejszych mężczyzn. Serafina uważała z niechęcią niezbyt uprzejme obejście się Ladara z rotmistrzem, a obawiając się, aby przez to dobra opinia jaką dom ich słynął nie cierpiała, usiłowała nagrodzić rubaszną oziębłość męża, wyłączną grzecznością względem Czermelego, za co tenże z radosną wdzięcznością wywzajemniał się w swojem względem niej zachowaniu. To postępowanie małżonków byłoby utrzymało równowagę w ich przyjacielskiem gronie, gdyby Ladar nie był upadał pod zbytkiem jego ciężaru. Zazdrość i boleść, usilnie tajona, pożerała serce jego; jeden z przyjaciół Ladara uczynił go potajemnie uważnym na stosunek Serafiny z rotmistrzem — idąc więc za radą tegoż przyjaciela, tając najstaranniej swój niepokój, usiłował on w jasne zamienić go przekonanie. — W tym więc celu, ułożono polowanie w dalszych okolicach, co pożądaną nastręczyć miało sposobność, ku ziszczeniu zamiarów jego. Ladar pożegnał żonę, rozstając się z nią, niby na dni kilka i wcześnie z rana udał się w podróż z wtajemniczonym do sekretu przyjacielem. Serafina nie przeczuwając nic złego, jawnie radość swoję okazywała w szczęśliwym zostając obłędzie, że podobne rozrywki wywrą wpływ dobroczynny na usposobienie jej męża. Ladar jednak w zaślepieniu swej namiętności, dostrzegał pod tą zasłoną niewinnej radości, ukryty zapał występnej rozkoszy.

V.

Słońce opuściło już widokręg, a szary pomrok rozpościerający się do koła, gdzieniegdzie tylko widna na niebios sklepieniu wdzięczna rozjaśniała gwiazdka, wydobywając się z pomiędzy chmur rozdartych. Ladar gnany jędzą zazdrości, pędził z powrotem ku spokojnemu domowi. Przy bramie zamkowej dostrzegł huzara na koniu, trzymającego pięknego wierzchowca, w którym mimo ciemności poznał natychmiast siwego konia Czermelego. Z wzrastającem biciem serca i gorączkowem wzburzeniem, zbliża się Ladar do progów domu, i wysiadłszy cicho, biegnie do przedpokoju wiodącego do mieszkania Serafiny. Drzwi zastał zamknięte — potrząsł więc niemi całą siłą, a w tej chwili, gdy zbladła od strachu pokojowa otwarła je i Ladar próg przedpokoju przestępował, przesunęła się koło niego czarna postać, okryta szerokim płaszczem, a brzęczący przy boku pałasz domyślać się kazał, kto był owym gościem.

Ladar stał w miejscu skamieniały, ścigając wzrokiem zdążającego ku otwartej bramie, gdzie tenże dosiadłszy konia zniknął w ciemnościach nocy z szybkością błyskawicy.

Ha! piekła i szatany!!! — zawołał z wściekłością małżonek wpadający do salonu Serafiny, i jak rażony od pioruna padł na kobierzec. — Serafina przestraszona już dolatującym ją z przedpokoju chałasem, sądziła, iż to napad rozbójników, a spostrzegłszy upadającą postać Ladara, z twarzą pokrytą śmiertelną bladością, dreszcz zimny przeszył ją na wskroś—„Ladarze, drogi Ladarze! na Boga, powiedz co tobie? zawołała pochylając się ku niemu przerażona— czy cię jakie nieszczęście w podróży spotkało?“

„W mojej podróży? ha, ha, ha! odrzekł dziko, a ten śmiech obłąkanego, wiernym był odbitkiem piekielno-szyderczego uniesienia, duszą jego miotającego w tej chwili. — „W podróży mojej? — nie — o nie wcale — lecz tu w domu“ wołał z wzrastającą wściekłością powstając z ziemi i w stół pięścią uderzając z siłą nadprzyrodzoną.

W pokoju nie było nikogo, prócz zalęknionej sługi i z śmiertelną boleścią walczącej Serafiny. Po tym wybuchu wściekłości, nastąpiła chwila milczenia, chwila, która dla wszystkich trojga wiecznością się być zdawała. Nakoniec Serafina zebrawszy wszystkie siły, gwałt zadając znękanemu sercu, z udanym spokojem i złożonemi rękami zbliża się do niego, mówiąc głosem który zdawał się z grobu wychodzić: „Ladarze, mów co Tobie? mów, jeżeli jeszcze na chwilę życie moje chcesz zatrzymać! Tu kolana mimowoli zgięły się pod wysiloną, i Serafina uklękła.

Ladar jakby z odurzającego snu ocucony, wstrząsnął sobą gwałtownie — potem założył na krzyż ręce na piersi, a zatopiwszy wzrok obłąkany w klęczącym przed nim aniele, rzekł przytłumionym głosem: „Tak! ty na sercu mojem wykarmiony wężu! mógłbym cię w tej chwili zdeptać, zniweczyć, zdrada twoja upoważnia mnie do tego; lecz chociaż serce moje śmiertelnym dotknięte ciosem przez ciebie, przecież jako mąż umiem się powściągnąć, i nic więcej nie żądam, tylko, abyś jaknajspieszniej dom ten opuściła, i nigdy na przyszłość nie poważyła się progów jego przestąpić!“

Już w połowie tej przemowy jego, Serafina padła zemdlona na ziemię — a ta chwilowa zmysłów utrata, była tym razem prawdziwem dla niej dobrodziejstwem. — Podczas gdy wierna jej sługa krzątała się koło niej z czułą skwapliwością, Ladar z mimowolnem wzdrygnieniem i zgrozą w duszy, odwrócił oczy od tej sceny, a otworzywszy gwałtem okno, wychylił się przez pół, wylewając łzy piekące najgłębszą wyciśnięte boleścią, utopił wzrok zrozpaczony w ciemnościach nocy. Gdy się odwrócił od okna, pokój już był pusty i cichy jakby przybytek, którego mieszkańcy przenieśli się na wieczny spoczynek. Tak przesiedział on tam samotnie kilka godzin w osłupieniu, jak duch potępienia na krwią skażonych ruinach świętego przybytku przez siebie zniszczonego.

Po niejakim czasie wchodząca nieśmiało, i z bojaźliwem wejrzeniem pokojowa przerwała dumanie jego i stanęła przy drzwiach, oczekując rozkazów pana.

„Mów! lecz prawdę, jeżeli sobie życzysz zbawienia duszy, dziewczyno! — zawołał Ladar — „kto był dzisiaj u pani twojej w odwiedzinach?.. Przerażona dziewczyna wyszeptała nazwisko rotmistrza.— Ladar sądził się być blizkim zgonu.— „A co to była za postać, którą wypuściłaś, kiedy ja wchodziłem?“.... badał dalej przerywanym głosem.

„Był — to był — nie mogłam rozróżnić w ciemności.“

„Nie kłam wężu! jeżeli nie chcesz przywieść mnie do ostateczności“ wykrzyknął Ladar.

„Tak.... zdawało mi się, że to był rotmistrz Czermeli“ wyjąkała znowu pobladła i zaledwo oddychająca dziewczyna, padając na kolana — litości! łaskawy panie litości! pani moja jest niewinna!“

Ladar zrobił gwałtowne poruszenie, jak gdyby zdeptać chciał klęczącą przed sobą dziewczynę; lecz w końcu powściągnąwszy gniew swój w części— zawołał: „Dosyć! dosyć! jeszcze jedno słowo, a życiem mi przypłacisz! uchowaj duszę moję od tej winy a siebie od śmierci! i uchodź obmierzła! krzyknął drzwi wskazując.

Drżąca na całem ciele dziewczyna, więcej czołgając się jak idąc, wyniosła się nieboga z pokoju.—Ladar zaś po krótkim namyśle rozkazał wygotować pojazd podróżny jak najspieszniej, a oddając swą żonę opiece pokojowej i lokaja, wydał najsurowszy rozkaz, aby ją jeszcze tej nocy do jej rodziców odwieziono z tym dodatkiem: iż w razie przeciwnym, życiem mu swojem odpowiedzą za niedopełnienie jego woli— poczem wyszedł i zatrzasnął na klucz drzwi od swego pokoju.

Nazajutrz cisza głucha osiadła w domu—rozkaz udzielony w nocy, dokładnie został wykonany.

Serafina za przybyciem do rodzicielskiego domu, przyszła nieco z bolesnego otrętwienia do siebie— a nie mając sobie nic do wyrzucenia w własnem przekonaniu i sumieniu, cierpiała głęboko lecz spokojnie— łzami rozbrajając wybuchy słusznego oburzenia kochających ją rodziców, na niegodne i upokarzające z nią obejście się gwałtownego Ladara.

Lecz nie na tem koniec.— Tę cnotliwą niewiastę inna jeszcze czekała próba: po kilkunastu dniach pobytu w domu rodziców, poczuła ona się być w stanie, który w innem szczęśliwszem położeniu byłby serce jej przejął najczystszą radością, podzielaną szczerze przez kochającego małżonka— gdy w dzisiejszym doń stosunku, odkrycie podobne zgrozą przejąć ją musiało— lecz dusza jej szlachetna w przeświadczeniu o własnej wartości, zniosła i ten cios jeszcze bez słowa skargi.

Ladar w pierwszych chwilach samotności oddał się dzikiej rozpaczy, tak, że niekiedy w napadzie szaleństwa, nastawał on na własne życie — lecz anioł zapewne opiekuńczy biednych dziatek jego, niedopuścił wykonania czarnego zamiaru. Z czasem więc uspokoiwszy się nieco, widział on się wynagrodzonym być w części po swej dotkliwej stracie, dwoma lubemi i z każdym dniem to piękniej rozwijającemi się córeczkami, których wychowaniu poprzysiągł jedynie dni swe poświęcić.

Rodziny stron obydwóch starały się przywrócić dawne szczęście i spokój domowy — lecz napróżno niestety! żonie bowiem godność kobieca i przeświadczenie o swej niewinności; mężowi zaś namiętność dzika i chęć zemsty, wzbraniały uczynić krok pierwszy; — aż nareszcie rodzice obarczając się w żalu wzajemnie gorzkiemi wyrzutami, uczynili pojednanie już całkiem niepodobne. Rozłączono zatem i dzieci, starszą pozostawiając ojcu; młodszą zaś poruczono staraniom matki, a ran serca zagojenie, pozostawiono czasowi.

VI.

Już to upłynęło lat kilka w nieprzerwanej jednostajności od opisanych powyżej wydarzeń. Teraz więc na inną wcale nową widownię wprowadzim naszego czytelnika: będzie nią mały, lecz w dobrym smaku urządzony i starannie pielęgnowany ogród angielski, w którym dostrzeże on zanadto może cienia, pochodzącego od obficie krzewiących się wiązów i dzikich kasztanów, wysoki otaczający go mur szary, w południowych tylko godzinach wpuszcza doń dobroczynne słońca promienie. Ogród ten jest cichy i prawie pusty, gdzieniegdzie tylko na wązkich jego ścieżkach dostrzedz można ciemną jaką postać jak nocne widziadło, modlącą się lub też wolno od świadka, wydającą bolesne skargi tęsknoty za ruchliwym światem, którego bramy w zapale pierwszego uniesienia nierozważnie zamknęła dla siebie na zawsze!

Szczęśliwy zaiste ten, czyje tu serce wolne od niewczesnego żalu nie jest pożerane bólem lub tęsknicą, kto z spokojnym umysłem, zimną krwią i z chrześciańskiem poddaniem się liczy chwile, które go z tego przymuszonego grobu żyjących, do milszej szczuplejszej celi spokoju zaprowadzą! W około cisza panuje, przerywana tylko niekiedy odgłosem dzwonka lub śpiewnymi tony poważnego organu, wtórzącego pieśniom nabożnym przez dziewice zakonu do nieba zasyłanym. Nagle powstał szmer lekki, otwarły się drzwi wchodowe do ogrodu, wbiegło żwawo kilkanaście panienek od siedmiu do trzynastu lat wieku, i rozbiegając się wesoło po jego chodnikach, przedstawiły całkiem sprzeczny obraz z martwem tam dotąd życiem.—Gdyby posłanki niebios, błądzą one pomiędzy znane im kwiaty i krzewy, które rade napawają swą wonią niby znane im towarzyszki młode. — Śmiech szczery i niewinny, dający się słyszeć tu i owdzie, miesza się ze śpiewem ptasząt, które tem swojem lubem świergotaniem przyczyniają się o ile w ich mocy, do powszechnej radości, napełniającej te młode serduszka. Nakoniec przybywa matka Leona powszechnie szanowana ochmistrzyni, z obliczem Madony, które mogłoby być ozdobą każdego ołtarza. Blada jej twarz otoczona zwojami ulotnego rąbku, podobną była do łagodnej tarczy księżycowej, co zawieszona wśród obłoków nocy, ćmi swym nieziemskim blaskiem ziemskie wejrzenia śmiertelnych.

W oczach jej spostrzeżesz uroczystą świetność nieba, na licach jej nie ujrzysz uśmiechu, lecz kiedy zwróci spojrzenie na wychowanki swoje, wówczas wdzięk nieporównany odbija się w jej poważnych rysach. Prowadzi ona za ręce dwie uczennice, co jest oznaką, że jej być muszą milszemi nad inne.— Rozpatrzywszy się wprzód, czy na chodnikach ogrodowych będą mogły bawić się bez jakiejbądź przeszkody lub niebezpieczeństwa; wprowadziła je w grono bujających współtowarzyszek, a sama usiadłszy w cieniu ulubionym, o-

tworzyła książkę do nabożeństwa, i w niej wzrok swój i myśl pogrążywszy, przedstawia wizerunek świętej. Od czasu do czasu jednakże spoglądała ona troskliwie na bawiące się wychowanki, a wtedy przypomina opiekuńczego anioła, którego opiece nieba, małoletnie poruczyły dziatki. Gdy ukończyła pacierze, wstała i zbliżyła się do igrających dziewcząt, przypatrując się z radością ich uciesze, grom niewinnym, i wypadkiem stanęła obok krzaka róży, za którym dwie jej ulubienice ukryte jak dwa gałąbki rozmawiały z sobą: „Patrzaj Ilko na ten pączek róży, nie jestże on wspaniałym?“ — mówiła starsza dziewczynka do młodszej, jakże ładnie odbijałby w równiance niezapominajek! „Komuż ofiarowałabyś te piękne kwiaty? bo ja, to ojcu zaniosłabym je mojemu!“

—O Boże!—odrzekła Rosa młodsza— jakże szczęśliwe jest to dziecię, które posiada ojca!

—Ja mam wprawdzie ojca, odrzekła Ilka, lecz nie mam matki, przynajmniej jeszcze jej nigdy nie widziałam! a jakże chętnie przycisnęłabym ją do serca, ach! młoda dziewczynka wtenczas tylko może nazwać się zupełnie szczęśliwą, kiedy ojca i matkę posiada!“ Matka Leona, ukryty świadek tej niewinnej i żałosnej rozmowy, wyszła z za krzaka, przycisnęła Ilkę do piersi, i całując ją serdecznie z anielskim uśmiechem, rzekła z wyrzutem: „A ja nie jestemże ci matką niedobra Ilko, a ty nawzajem wszystkiem dla mnie, jakżeż?“.. i całując na nowo delikatne usteczka, niedozwoliła jej odpowiedzieć.

Ilka szczęśliwsza przecież odemnie — przemówiła żałośnie Rosa, — bo ona ma w domu ojca, a tu w siostrze Leonie matkę, lecz mnie któż tu ojca zastąpić może?“

„Prawda, odrzekła siostra Leona, ty biedne dziecię większą jesteś sierotą, lecz ufaj niebu, bądź dobrą, łagodną, a upewniam cię, że i ty wkrótce odzyskasz ojca.“

„O! dobra, słodka, anielska matko Leono! gdybyśto mogła spełnić tę obietnicę“.. zawołała Rosa, ściskając czule w uniesieniu radości matkę Leonę.

O! gdybyś i mnie prawdziwą matką obdarzyć mogła“ dodała Ilka w dziecinnej prostocie.

„Wszystko to nastąpić może moje dzieci, tylko się uczcie i módlcie. — Bóg jest dobrotliwy i nie zapomina o sierotach“... W tej chwili silny odgłos klasztornego zegaru przypomniał, że godzina rozrywki przeminęła—nadeszły i inne wychowanki, a ponura furta klasztoru otwarłszy się znów na chwilę, pochłonęła szybko to grono małych aniołków.

Dwie owe małe dziewczątka, których widzieliśmy niewinne zabawki i słyszeli szczere użalania, były owocem najszczęśliwszego niegdyś związku małżeńskiego, dziś zaś przez żyjących jeszcze swych rodziców skazane na sieroctwo— przez rodziców już nam znanych, w osobach Ladara i Serafiny, żyjących jak to wiemy już od lat kilku w rozłączeniu i szukających w dzieciach chociaż części owego wynagrodzenia, za swe gwałtownie zniszczone szczęście małżeńskie. Młodsza Rosa, która nie mogła się jeszcze obejść bez starań matki, opiece Serafiny powierzoną była; starsza o półtora roku Ilka przy ojcu została, który ją matce swojej pani Kegiendy na wychowanie oddał. Obiedwie rozłączone strony, smutne pędziły życie na ustroniu w samotności. Ladar tyle niegdyś obiecujący w zawodzie politycznym, dziś przez książki tylko i gazety związek miał z życiem publicznem, a Serafina, ograniczona jedynie na swój pokój, oddana była całkiem wychowaniu trzeciego dziecięcia swego. Tak wzrosły dwie dziewczątka, ogołocone z rodzeństwa i obce dla siebie, odpowiadając ich staraniom, i z każdym rokiem więcej rokując nadziei rodzicom,—gdy zaś ukończyły zakres domowej nauki, i dalsza ich edukacya wymagała oddania ich do zakładu wychowania, wypadek zdarzył, że prawie naraz przybyły do klasztoru nie wiedząc nawet o blizkiem pokrewnieniu swojem, a przecież uczuły ku sobie niepohamowany pociąg. To ich zbliżenie, zamieniło się wkrótce w nierozerwaną przyjaźń, a matka Leona znająca dokładnie ich stosunek, starała się ten gwałtownie zerwany związek krwi, na nowo utwierdzić. Najtrudniejsze jednakże zadanie zostawało jeszcze do spełnienia: połączyć dzieci z rodzicami a rodziców obdarzyć dziećmi— wielki ten i szlachetny zamiar był powodem do niejednej nocy bezsennie strawionej dla cnotliwej matki Leony.

Miłości macierzyńska! ty najwznioślejsza z wszystkich wzruszeń, z którą żadne uczucie w morzu ludzkich namiętności w porównanie iść nie może, jakież pióro na ziemi zdoła odmalować cię dokładnie z twoją postacią duchową niewidomą z nieba ubiegłą? Miłość matki jest to namiętność, która najdzikszy umysł w gołębia zamienia, najdelikatniejszą duszę w razie potrzeby siłą i odwagą lwa ożywia! Jeżeli kto, zdanie to przesadzone być mieni, niechaj rzuci okiem na czuwającą matkę nad kolebką śpiącego dziecięcia, pozbawiającą się wszelkich próżnych uciech życia, snu słodkiego nawet— lub niechaj ją zważa przy łożu chorego jej dziecięcia, zwątpioną o wszechmocności Stwórcy, a przecież zanoszącą modły do Tegoż, aby nie niweczył jej całego szczęścia; nakoniec niechaj przypatrzy się, gdy ukochanemu zmarłemu ostatni pocałunek na skośniałych wyciska ustach, chcąc życie swoje w martwe przelać ciało, a wówczas pojmie całą prawdę powyższego zdania. Lecz wróćmy do Serafiny, która usunięta z odczarowa-

nego obrębu życia małżeńskiego, usuwała się również od wszelkich przyjemności życia, jedynie dziecięciu swemu oddana, od którego bytu jej również życie zawisło. Wyprosiła ona sobie u szanownej przełożonej klasztoru, aby od czasu do czasu miewać mogła wiadomość o zdrowiu i postępowaniu córki, i można sobie wyobrazić, z jakiem zawsze utęsknieniem oczekiwała listów, które ją miały zaspokoić względem zdrowia ukochanej Rozy. Dotąd zawsze odbierała ona te uwiadomienia regulnrnie i w pewnych terminach — gdy naraz upłynął tydzień, a po nim następnie dni kilkanaście, a żadna nie nadchodziła wiadomość, tysiączne smutne domysły poczęły dręczyć serce nieszczęśliwej matki. Wyobraźnia ciągle zajęta jednym przedmiotem, we śnie ją nawet niepokoiła; ciągle widziała ona pogrzeby, trumny, w których pod białą przejrzystą osłoną jej Roza spoczywała. Nie będąc w stanie dłuższej znieść katuszy, umyśliła sama osobiście, o stanie zdrowia dziecięcia swego przekonać się. Przygotowano zatem już wszystko do podróży, gdy nagle list tak mocno upragniony nadszedł, Serafina nie miała na tyle odwagi, aby go odpieczętować; okropne przeczucie miotało jej duszą, lica pobladły, oddech ustał i serce biło głośno. — Nakoniec z konwulsujnem drżeniem odpieczętowała list, a przeczytawszy pierwsze wyrazy, zawołała: „Umarło! dziecko moje umarło!“ — List wypadł jej z ręki, a ona bez zmysłów padła na posadzkę. Treść listu w następnych była wyrazach:

Łaskawa Pani!

Roza już od dni kilku czuła się być słabą, o czem zamilczałam, niechcąc daremnemi troski niepokoić macierzyńskiego serca, gdy jednak podług zeznania lekarza, choroba niebezpieczny bierze kierunek, i stan od wszystkich ukochanej chorej dzieciny wprawia nas w niespokojność, ośmielam się upraszać Łaskawą Panią, abyś raczyła po odebraniu tej wiadomości pospieszyć dla pocieszenia biednej chorej. Zostaję z uszanowaniem

Łaskawej Pani uniżoną sługą

Matka Leona.

Gdy Serafina z omdlenia wróciła do zmysłów, niespokojne w około rzucała spojrzenia, mając umysł tą tylko jedną myślą zajęty: Boże! gdyby już zapoźno było? — Wreszcie jakby na pół w obłąkaniu zerwała się nagle, rozkazała jak najprędzej zaprzęgać, a w czasie przygotowania do podróży, nieodwróciła oczu od pojazdu — gdy zaś ten już był wypakowany, z szybkością błyskawicy rzuciwszy się w głąb jego, zawołała: „Do mojej Rozy! tak prędko jak konie wyskoczyć mogą!

(D. n.)

W Imionniku.

TRZY KWIATKI.

Pragnąłem szczerze, śród kwiatów pamięci
Znaleźć kwiat świeży i wpleść go do wianka.
Kwiat co swą barwą i zapachem nęci,
Kwiat z wiosny marzeń, i z uczuć poranka.

Więc znów na łąkę kwiecistą wybiegłem,
Gdziem nieraz zrywał pierwszych marzeń kwiaty,
Które przy sercu jak relikwiarz strzegłem,
Goniąc w dal jakąś... i w czarowne światy.—

Lecz po tej łące już wiatr mroźny wionął,
Burze kwiat marzeń zawcześnie rozwiały,
On w falach życia na zawsze utonął,
I tylko ciernie na łące zostały.

Jednak śród cierni, jeszcze na obszarze,
Gdzieniegdzie rośnie jakiś dawny kwiatek,
Trzy ich znalazłem i te niosę w darze,
A te są: róża, lilia i bławatek. —

O przyjm je Pani! to kwiaty niewinne,
A jak twa dusza, są piękne zarazem—
Te wiecznie kwitną choć powiędły inne,
Bo naszej barwy są one obrazem.

Pani! tyś Polką! — więc przy sercu twojem
Kwiaty ojczyste chowaj w każdej dobie;
Bóg ci je oddał — i aniołom swoim
Z nich kiedyś wieniec każe uwić tobie. —

Z.

WANDA.

Niegdyś — przed laty dawnemi,
Wanda z anielskim obliczem,
Z męztwem i z sercem dziewiczem
Naszej panowała ziemi.
Sąsiednie Polsce narody
Przed jej tronem biły czołem,
Drżąc przed dziewicą — aniołem,
I wielbiąc blask jej urody.
Obce pany i rycerze
Do niej słali posły, dary,
Długie z sobą wiodąc swary,
Kogo za męża wybierze.
Wanda posłów nie przyjmuje
Od wrogich ojczyźnie ludzi;
Blask korony jej nie złudzi,
Piękność darów nie ujmuje.

Wandzie bowiem był już drogi
Z polskiego rodu młodzieniec,
Jemu ślubny oddać wieniec
Wanda przysięgła na Bogi.
Ufny w dary i w swą zbroję,
Gdy wódz teutońskiej rzeszy
Do Krakowa bieżąc spieszy,
Aby Wandę wziąść jak swoję.
Ona widząc, że nie może
Tak licznym oprzeć się wrogom,
Niechcąc ślubów łamać Bogom,
W Wiślane rzuca się łoże.
Bo milej w ojczystych wodach,
Lub w ojczystej spocząć ziemi —
Niżeli między *obcemi*
Żyć w niesławie — choć w wygodach.
Za to lud jej pamięć chowa,
Wielbiąc piękność, męztwo, siłę,
I nad Wisłą — w bok Krakowa,
Wdzięczny — wzniósł dla niej mogiłę.

A. K.

POLSKA W OBRAZACH.

Legendy czyli podania żyjące dotąd w pamięci i ustach ludu, o niektórych kościołach krakowskich, i tak do budowli kościoła Panny Maryi w rynku:

Przykład ukarania pychy. Opiewa to podanie w następującej treści: Dwu braci budowniczych wzięło się do wzniesienia obu wież Maryjackiego kościoła. Dopóki miłość łączyła współzawodników, szła praca zgodnie, a z łona rynku coraz wyżej pięły się smukłe wieżyce. Czart pozazdrościł ludzkiemu dziełu; więc niepokojem o sławę jął kusić starszego brata, że go młodszy prześcignie, i wyżej ku niebu szczytem zasięgnie. Śmierć tylko współzawodnika, mogła na głowie pysznego wieniec sławy zostawić; więc legł młodszy budowniczy pod razem bratobójczym, a starszy odbierał cześć za cudzą pracę. W chwili tryumfu ozwało się sumienie, rozpacz radość zastąpiła, a grzesznik wśród zgromadzonej licznie publiczności, że przez zawiść zgładził własnego brata, tem samem morderczem narzędziem śmierć sobie w ich oczach zadaje. Nierównej wysokości wieże kościoła Maryackiego, i nóż ów znacznej długości, zawieszony dotąd na wieczną pamiątkę na łańcuchu w Sukiennicach, zostały na stwierdzenie prawdy.

Do kościoła św. Floryana na Kleparzu w roku 1179, król Kazimierz Wielki wraz z Gedeonem biskupem krakowskim, posłali byli najprzód do Aleksandra III, a gdy tenże umarł, do Lucyusza III papieża, prosząc, aby im relikwij jakiego świętego do Polski udzielił. Przychylił się ojciec św do pobożnej prośby, i tylko o wybór chodziło. Poszedł tedy do kaplicy, kędy leżały ciała rozmaitych świętych, i zapytał najprzód św. Wawrzeńca, czy chce do Polski? Ale ten odwrócił się od niego. Toż samo uczynił św. Szczepan,—dopiero św. Floryan zapytany, dał ręką znak zezwalający.

Wzięto więc święte zwłoki, i z wielką czcią a okazałością wieziono do Polski. Król dowiedziawszy się o zbliżaniu ich ku Krakowu, o siedm mil od miasta wyszedł naprzeciw, otoczony duchowieństwem i tłumami pobożnego ludu (1184).

Gdy cały ten poważny kondukt przybył nareszcie na Kleparz, w miejsce gdzie dzisiaj kościół świętego Floryana stoi, wóz na którym spoczywały relikwie stanął tak silnie, że go żadna ludzka moc poruszyć dalej nie mogła, z czego król, duchowieństwo i lud zebrany poznali, iż święty to miejsce szczególniej sobie upodobał, i na niem złożony być żąda.

Zaraz tedy król z biskupem skrzętnie zabrawszy się do dzieła, kościół na onem miejscu niebawem dźwignęli, i w nim zwłoki św. męczennika umieścili.

Odtąd św. Floryan został patronem Kleparza, i nieraz go od klęsk i nieszczęść cudowną swoją opieką zasłaniał, a zwłaszcza też od ognia, przeciw któremu szczere modlitwy nieraz skuteczną pomoc u niego znalazły.

Do kościoła świętego Jana. W kościele świętego Jana, obok wielkiego ołtarza, w którym obraz cudowny Najświętszej Maryi Panny, każdy widzieć może zawieszone ciężkie żelazne okowy. Znaczenie ich, tak nam objaśnia podanie: Onego czasu, dawno, bardzo dawno, szlachcic pewien, który miał wielkie nabożeństwo do owego cudownego obrazu Najświętszej Panny, w jednej potrzebie z Tatarami dostał się w jassyr. — Jęcząc długo w ciężkiej niewoli, przypomniał sobie wreszcie o owym obrazie, począł się modlić gorąco, i ofiarował się pieszo do Krakowa do św. Jana, jeżliby z więzów uwolnić się potrafił. Modlitwa jego musiała być szczera, bo niebawem i łaski doznał. Najświętsza Panna objawiwszy mu się, cudownie wywiodła go z więzienia, gęstą otoczonego strażą, a przeniosłszy go na granice Polski, rzekła: „Idź, a uczyń jakoś ślubował."

Dopełnił też święcie uczynionego ślubu szlachcic, a przyszedłszy do Krakowa, na wieczną pamiątkę owego cudu i swej wdzięczności, okowy które dźwigał, w kościele św. Jana, obok cudownego obrazu zawiesił.

Do kościoła św. Katarzyny niemniej cudowne podanie wiąże się do wizerunku Pana Jezusa miłosiernego, wymalowanego staraniem bł. Izajasza

Bonera na murze krużganku kościoła św. Katarzyny i Małgorzaty na Kazimierzu.

Pewien górnik z Wieliczki, miał takie do tego obrazu nabożeństwo, że wiele razy był w Krakowie, nigdy nie omieszkał wstąpić do kościoła św. Katarzyny, i przed Panem Jezusem miłosiernym się pomodlić. Zwykle prócz tego ofiarował przed obraz dwie świece, i jałmużnę wedle możności swojej rozdawał.

Stało się jednego razu, że gdy pracował pod ziemią, sól oberwała się i zasypała go w szybie tak, że o ratunku ani pomyśleć można było. Żona jego, kobieta bogobojna, opłakawszy śmierć męża, pomna jego nabożeństwa do Pana Jezusa u św. Katarzyny, modliła się też doń na intencyą nieboszczyka, paliła świece, i dawała jałmużny.

W rok spełna po owym wypadku w Wieliczcze, górnicy kopiąc w pobliżu miejsca pamiętnego śmiercią towarzysza, usłyszeli głos, jakoby jego własny, który ich prosił, aby mu drogę otworzyli i wyjść pomogli. Przerażeni, nie wiedząc co począć, pobiegli do jednego O. Bernardyna, który tam był właśnie rezydentem, a ten kazał im kopać w stronę, zkąd głos się odzywał, tylko bardzo ostrożnie. Co gdy wedle polecenia uczynili, owego górnika przed rokiem zasypanego, z niesłychanem wszystkich podziwieniem, zdrowego, całego i nienaruszonego odkopali.

Następnie ów cudownie ocalony, w klasztorze, przy zbiegowisku ludzi z całego miasta pod przysięgą zeznał, że będąc pod ziemią, cały rok ten obraz z ołtarzem miał przed oczyma, że przed ołtarzem ciągle paliły się dwie świece, a on codziennie na ołtarzu bochenek chleba znajdował.

Cud ten w obec tylu ludzi zaprzysiężony, nietylko w pamięci i ustach ludu, ale i w aktach klasztornych zapisany został.

Do kościoła Najśw. Maryi Nawiedzenia na Piasku. Władysław Herman król Polski, cierpiąc bolesną i przykrą chorobę w twarzy, gdy ludzkie nie pomogły lekarstwa i rady, do Boskiej udaje się pomocy, a myśląc o tem, snem zmorzony zasnął. We śnie objawia mu się N. Panna Marya, pokazując to miejsce (gdzie dziś kościół i klasztor stoi) i mówiąc: „żeby tam poszedł, a gdy ujrzy kępę wonnych fijołków, żeby pod niemi kazał kopać, a znajdzie tam piasek, którym gdy ranę posypie, uzdrowiony zostanie.“ Co gdy król w obecności Lamberta bisk. krakowskiego i wielu duchownych uczynił, natychmiast cudownie został uleczony.

Na zawdzięczenie więc Panu Bogu tak wielkiego dobrodziejstwa, kościół na tem miejscu fundować zaczął;— a gdy tę budowę wojny, rozruchy domowe, a wreszcie śmierć króla przerwała, prowadził ją dalej Piotr Dunin hrabia na Skrzypnie; także śmiercią zaskoczony— aż dopiero w końcu XIVgo wieku, ś. p. Władysław Jagiełło król Polski z Jadwigą małżonką swoją dzieła rozpoczętego ku chwale Boga szczęśliwie dokonali, i klasztór przy nim wystawiwszy, sprowadzili tam z Pragi zakon Karmelitów.

Święta kościelne w związku z porami roku, i główne nabożeństwa odprawujące się za koleją w tych krakowskich świątyniach.

.... Więc w pierwszym dniu listopada uroczystością *Wszystkich świętych*, oddaje nas wiara w uwielbionych duchów opiekę. Gdy jesień zdarła z ziemi szkarłatną szatę, w którą się ta oblubienica nasza odziała, na ukojenie tęsknoty a przypomnienie innych związków a krewieństw ludzkich, ukazuje kościół wieczne towarzystwo i i śluby, jakiemi nas z niebem przez świętych łączy obcowanie.

Więc wśród milczenia przyrody, na cześć świętych pańskich, grają dnia tego dzwony i organy, a woń modlitwy w sfery wiecznego światła przez czarne chmury wichry przenoszą.

Błyska nadzieja — ale tęskno jeszcze duszy, jak skoro płacząca wierzba roniąc liście swoje, nagie odsłania mogiły; a nam pożegnać się przychodzi z ojców grobami, bo je wkrótce zimny lud okryje, a śnieżna zamieć przed nami zasłoni. Więc nagle w owym dniu modlitwy do świętych, hymn tryumfu w tęskne tony pogrzebowej, zmienia się modlitwy— kir ołtarze odziewa, a dzwon weselne dźwięki w jęczące smutkiem akordy przestraja. Obchód *dnia zadusznego* to ostatnie pożegnanie z ukochanemi, co pod śniegiem spoczęli w łonie ziemi skostniałej a mrozem ujętej.

Tak z modlitwą, po raz ostatni przed grudą i śniegiem, wychodzi kościoł na pola, a krople święconej wody, dymy kadzideł i modlitwy wonie wśród milczących zastają cmentarzy, na świadectwo, że miłość przeszła tędy, a w zamian za smutek i tęsknotę, nadzieję w zbolałe serca zabrała.

.... Czy myślisz, że zamarło życie, a nicość i zniszczenie wzięły w rękę berło przyrody? Nie— w łonie ziemi śpią nasiona, jak w kolebkach, w łupinach spowite — szron lodowaty pączki pootulał— w posłaniach z mchu leżą jaja, a w skorupach i szczelinach owad swoje poskładał zarody. To nie śmierć, ale sen tylko i wewnętrzna praca. Człowiek pozbierał choćby najdrobniejsze pyłki i zarodki sił żywotnych, aby je wiośnie przekazać; a sam rozbudza się w duchu i krzepi, by święte skarby ognia rozżarzone, oddać znów przyrodzie.

Więc *Adwent* w kościele. Gotują się ludzie w skupieniu na Zbawcy przyjęcie. Ziemia śpi, a człowiek obchodzi pamiątkę odrodzenia swego. Gwiazda w Betleem jaśnieje, skończone wyczekiwanie; bo słońce zbawienia już w ludzkich duszach wschodzi. Odkupienie rozlewa się na przyrodę całą, co się garnie do żłóbka, gdzie nowonarodzona miłość promienieje i zagrzewa.....

Choć śpi tedy natura, człowiek z pełnem a zsilonem życiem obchodzi *zapusty* szczęścia swojego.... miłość prądami płynie w tańczących kole— ludzie sercem wzajem się dzielą, a do ołtarzy idą oblubieńców pory.... człowiek pierwszy ogłasza stęskionej przyrodzie, że czas odrodzenia blizki.

(*D. n.*)

Korespondencya TOMASZA ZANA

XIII.

DO HRABIEGO KAROLA CHODKIEWICZA.

Petersburg r. 1838.

Mój kochany panie Karolu! Wezwyczaiłem się od dawna nie pisać do nikogo, gdy nie mam czystego i swobodnego humoru; ale że już tak długo doczekać się tego nie mogę, puszczam się jak jestem do ciebie, ażali ten mój list nie wywoła cię do odrzeczenia nawzajem kilku słówek, które mi zawsze pociechę i pokrzepienie sprawowały. Dwa lata czasu, dobrą miarkę zdrowia i wszystkie moje zapasy na podróż strwoniłem tu dla pracy około geognostycznego obejrzenia Baszkiryi. Dokonałem obszernego dzieła, które jest owocem siedmioletnich moich przejażdżek, postrzeżeń, rozmyślań i wyobrażeń około gór Uralskich i całej tamecznej natury, a do którego jednak nie mam żadnej miłości, jako do przedmiotu, do którego nie znajdę sympatyzujących po rosyjsku opisanego.— Zamiast treści tego dzieła, wypisuję ci godła, którem pomieścił na początku każdej części. Na wstępie „Służmy poczciwej sławie a jako kto może, niech do pożytku dobra wspólnego pomoże.“ W księdze drugiej „Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień. W trzeciej: „Als die Natur sich in sich selbst gegründet, da hat sie rein der Erdbott abgerundet; — Der Gipfel sich, der Schluchten sich erfreut, und Fels an Fels, und Berg an Berg gereiht; Die Flügel dann bequem hinab gebildet, Mit Sanftem Zug sie in das Thal gemildet, Da grünt's und wächst's. W czwartej: „Zawalił drogi moje kamieniem kwadratowym, ścieżki moje wywrócił.“ W piątej: „La raison a besoin de l'experience, mais l'experience est inutile sans la raison.“ — W szóstej: „Dam ci skarby skryte i skrytości tajnych rzeczy otworzę, abyś wiedział, żem ja Pan, który czynię imie twoje Bóg Izraela.“ W siódmej pieśń baszkirska:

„Aj aj jachszy, aj jachszy, aj lardym, kun jachszy, kun jachszy kurlandyn, Altyn kumysz czykkan dzyrdyn Aj haj! Dzamila Dzanykaj Dzanłyk bujlita, Tuhan uskan dzyr jachszy, jachszy.“ —

Toż samo po polsku:

„Piękne słońce, dzień tutaj jasnota,
Piękny księżyc, noc tutaj przyjemna,
Piękna ziemia światła- li czy ciemna,
Wiele rodzi lnu, koni i złota.

Lecz jest słońce i księżyc i ziemia,
Bardziej piękne, daleko milejsze!
Chcesz-li wiedzieć, dziewcze najpiękniejsze,
Odsłoń falę, ktora mnie zaciemia

Twoje czoło i oko i lice,
Nastaw ucha, by ktokolwiek inny
Nie podsłuchał mojej tajemnice, —
Nic milszego nad mój kraj rodzinny.“

Całe dzieło zajmie więcej stu drukowanych arkuszy, i złoży trzy spore tomy z geognostyczną kartą. Rozkład i nowość zapatrywania się na obecny i przeszły stan ziemskiej kamiennej powłoki znachodzi chwalców. Jenerał Czewkin oświadczył udzielić pomocy na wydrukowanie, ale to dla mnie żadnej nie przedstawia korzyści, gdyż książki tak niepopularnej nikt kupować nie będzie. Trzy już moje roboty za nic przepadły, jako: Nauka fizyki dla panien, O poznaniu siebie i Życie Kolumba; to były tłumaczenia, — nie wątpię i teraźniejszą oryginalną pracę podobny los spotka. Kiedyż mi Pan Bóg dozwolićby raczył przepędzać życie wśród swych, gdzieś w Młynowie czy Jampolu? Zawiodły mnie najmilsze i najpożądańsze nadzieje, które mnie oderwały od step i od gór z któremi się obwykło. Chętliwie spieszyłem do jakiego pod waszą przychylność i dobroć schronienia, gdziebym się mógł wyśpiewać i wypłakać wszystko. Zamiast Wandy, Popiela i Mendoga, które donaszam w wyobraźni mojej, zajmować się muszę martwemi przedmioty. Nic mnie więcej nie pozostawało, jak wejść na nowo do służby, i oto już od dwóch miesięcy sprawuję obowiązek bibliotekarza w instytucie górniczych inżynierów, gdzie mam kwaterę z opałem, światłem i stołem, i pensyą tysiąc rubli. Zapewne nie prędzej znowu będzie można pomyśleć o powrocie w swoje stro-

ny, aż po dwóch, trzech leciech, co mnie niewypowiedzianie smuci. Mieszkam na ostrowiu, czasem, przestrzenią, morzem i klimatem, obyczajami i zatrudnieniami rozdzielony i od przeszłości i przyszłości. Nigdy bardziej nie czułem dolegliwości i nudy wygnania, zupełnego odosobienia od ludzi, jak teraz w szumie i blasku pierwszej stolicy. Cele, obowiązki i sposoby bytu tutejszego są takiej natury, że cale niedozwalają miejsca i czasu dla rozwijania się myśli, czucia i towarzyskości, co właśnie największą i najwłaściwszą podług mnie stanowi przyjemność na tym padole doświadczeń człowieka. Nieznośnem to było dla Witkiewicza; musisz zapewne wiedzieć z gazet, jak czynnie się zajmował w Azyi, jak gorliwie i zręcznie sprawował dane sobie zlececia pod Heratem. Był w Kandaharze i Kabulu, prezentował się Dost-Mohametowi. Doznawał przypadków w odległych podróżach i wojnie, miał skaleczoną nogę, dostał order i podarki od perskiego chana i cale kontent był z czasu tam spędzonego na zatrudnieniach ulubionych sobie, jako złączonych z przygodami i niebezpieczeństwy. Gdy powrócił do Petersburga, w skutek odwołania grafa Simonicza, wraześmy się spotkali. Na piątym ledwie dniu swojego przybycia, zdybał mnie na Newskim prospekcie w kozaczem ubraniu. Trudy, klimat i troski, jeszcze więcej przydały mu marszczyn na czoło, które dziwnie odbijały od młodości wejrzenia, cery, postawy, ruchawości rysów i energii głosu. W zmięszanych uczuciach tego spotkania się na szumnej i tłumnej ulicy, nie miałem uwagi dojrzeć jakichkolwiek oznaków szczególnej dolegliwości jakowej w istotności jego położenia i bytu; przecież czułem pewne w sercu ściśnienie i niewytłumaczoną trwogę....

(List niedokończony.)

XIV.

DO FRANCISZKOWEJ MALEWSKIEJ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Matka najmilsza uzdrowienie chorych d. 14 lipca 1841 z Druskiennik.

Helenie i jej dziatkom, i ich ojcowi zdrowia i powodzenia,—Tomasz.

Z Petersburga 13 czerwca aż do Grodna w podróży całomiesięcznej, nie dałem sobie ani chwili wytchnienia. Smutek i rozrzewnienie schylały ku ziemi głowę moję; pozycya wcale dogodna do szukania skamieniałości, które znajdowałem na każdem miejscu gdzieśmy się zastanawiali, jak dgyby je kto umyślnie powykładał dla mnie. Z razu dobra pani Antoniowa Górecka usiłowała milczenie moje i zagłębianie się w sobie przerywać wprowadzeniem do rozmowy przedmiotów najbliżej obchodzących serce moje, ale wkrótce poznawszy nietrafność swego sposobu, dała mnie pokój i pomagać zaczęła moim poszukiwaniom geognostycznym; wkrótce zachorowała była na fluxyą, która jej mówić nie dozwoliła, a przy wyzdrowieniu dogonił nas p. Biszewski, daleko przyjemniejszy niż ja dla niej być mogłem towarzysz podróży.

Przez błotniste niziny, przez piaszczane wzgórza, przez pustynie i lasy, którędy bita droga' prowadzi aż do rzeczki Wielikaja, obrzeżonej wapiennemi pokładami, bogatemi w szczątki muszli skamieniałych, ciągnęła się za mną tęsknota i pamięć doznanej w Petersburgu cudownej choroby. Na ruinach zamku w Ostrowiu siedzi duch graniczny, skrzydłami swojemi rozdzielający atmosferę rzeczypospolitej Pskowskiej od Łotwaków: przeprowadzał on mnie aż do grzędy wzgórz zaokrąglonych, stanowiącej przedział między rzeczynami niosącemi dań wód swoich do Czudzkiego jeziora, a Iłżą wpadającą do Dźwiny. Tu już ojczystem obwiany zostałem powietrzem. W Rzeżycy obaczyłem Żydów, i pierwszy po tej drodze kościół. W stronie jezior i strumieni czystych, okrążonych wysokościami gliniastemi, wśród pól rozległych krasujących się zbożem i bławatkami, rozdzielanych ślicznemi gaikami brzeziny i dębów witał mnie znajomy głos skowronka, rannego śpiewaka niebios. Słońce które tak lubimy, miłe a rozległe oświecało widoki, grzmoty zaś i deszcze bywały tylko czasu popasów i noclegów, których dla słabości pani Góreckiej mieliśmy dosyć. Brzegi Dźwiny w Dynaburgu dostarczały mnie dosyć skamieniałości.— Skarżę się na waszych oficerów dróg, że rozkopawszy góry, darniną pozakrywali mnie warstwy ziemne. Porządne stacye pożegnaliśmy w tej małej części Kurlandyi, którąśmy przejechali.

Na źródłach rzeki świętej ujrzeliśmy bocianów: usłyszeliśmy nutę pieśni litewskich, które dwugłosem wyśpiewywały dziewczyny między zbożem. W Bracławiu spotkało nas wesele wiejskie, swaty konno i skrzypek. W każdej kąpałem się rzeczce, która tylko bieżała do Wilii naszych strumieni rodzicy. Ładne są widoki Litwy ożywiane ubogiemi siedzibami wsi i bardziej chędogiemi dworkami szlachty, przecież wszędzie widać upadające i opuszczone wyższe budowy, osobliwie w miasteczkach. Rozrzewniały mnie krzyże i mogiły, na których widzieliśmy lud klęczący, grzebiący umarłego, zbliżając się do Ucian i Szyrwintów długiego Piaseckiego. Dejbel spotkał mnie w Wiłkomierzu, i o czasach szczęśliwszych przy-

pomniał. W wigilią św. Jana o zmroku zobaczyłem ukochane Wilno, w dolinie wśród gór, z za których wznosił się księżyc poprzedzony gwiazdą. Powietrze było orzeźwiające, niebo czyste, gwiaździste, na zachodzie ogniste. Ośm koni zaprzężonych w karecie zawiozło nas na mast zielony i ciasne ulice, zuch pocztylion otrąbił nasz wjazd, tak zdawna nie zwracałem uwagi na powierzchowność domów, że cała fizyonomia miasta była dla mnie jakby cale nową. Serce się jakoś ściskało, bijąc się między żałością a strachem. Zastanowiliśmy się w domu Michała, mając z okna widok na kościół św. Kazimierza, ratusz i zamkową ulicę. Wykrzyk szyldwacha na hauptwachcie budził mię ze snu ciężkiego, jak w owym roku, w którym nakształt ptaszyny pojmany, zamkniony zostałem w ścianach turmy. Górecka życzyła mię wprzódy zawieść do Dasienat, zkądbym mógł potem wrócić do Wilna, ale tego nie mogłem uczynić.— Do godziny dwunastej dręczyłem się niecierpliwością wyjścia na miasto: rzeczy moje tak osobliwie zapakowane były, że ich prędzej dostać nie można było, przy niechęci służących, nieprzywykłych do podróży kirgizkiej, w której na każdem miejscu wszystko w pół kwadransa co potrzebnego, dobyć i spakować można. Obaczywszy pannę Annę i śliczniuchną Kamilkę, dziatki p. Góreckiego, pożegnałem jego żonę. Podróż kosztowała mnie 30 rubli z górą, nie mając żadnej wygody, oprócz tego, żem się nie strząsł i nie opalił. Teraz udałem się do Ostrejbramy, ledwie część mszy zachwyciwszy u Karmelitów. Oddałem im pięć rubli na mszę na intencyą p. Baługiańskiej i Bartolomee, i prosiłem potem na ulicy naszej opiekunki cudownej, aby raczyła wywdzięczyć za mnie wam, którzyście mnie zobowiązali współczuciem, przyjaźnią, pomocą, którym stałem się przyczyną łez i jakowych cierpień i niepokoju, zsyłając na was wszelkie błogosławieństwo, dziękowałem za dary i doświadczenia, które w życiu odebrał z tak niewyczerpanemi źródłami jego przyjemności. Zosia *) była pierwszą osobą, która mnie serdecznie z obfitością rozrzewnienia przywitała, gdyż Marynia i pani rektorowa były jeszcze na nabożeństwie u św. Jana. Przyjaźń nasza musiała być prawdziwa, kiedy także piękna i żywa jak niegdyś, dochowała się aż dotąd.

Kostuś śliczny aniołek, łączy w sobie wszystkie miłe i ukochane rysy, przez które podobny jest do mojej Marychy, Janka Bożego i Józi, waszych kochanych dziatek: to cała Józi pociecha i zatrudnienie, jaka jej pozostała w położeniu, w jakiem się znajduje; lęka się, aby jej kiedy i tej lubości synka nie odebrano. Powoziłem go w bryczeczce; palec, który mię dotąd boli i dokucza, nie pozwolił mnie nauczyć użycia i puszczenia bączka, który mu Adaś przysłał. W domu Franciszka *) znalazłem wszystko po dawnemu, tylko fortepiano inne i na innem miejscu, dawno już nieodkrywane i śpiewem nietowarzyszone. Przecież dla mnie śpiewano Wilią i Ninę. Pierwszy barszcz, sztuka mięsa i kurczęta z sałatą po polsku (niezmiętą) jadłem z niemi.

Marynia nieco utyła, zawsze dobra, rozumna, czynna, gospodarna, czuła. Nie mógłem się wygadać o was i o dzieciach waszych, które są zdrowsze i rzeźwiejsze od dzieci tutejszych, równie jak one rozumnych i interesujących. Po obiedzie przez góry wyszedłem na Rosę, do której zewsząd ciągnęły tłumy mieszkańców, grała muzyka wojskowa i w namiotach cymbały żydowskie, straż pod bronią była nie na ustroniu. Pragnąc co prędzej widzieć znajomsze osoby, nie zastanawiając się, przez młyny tameczne powróciłem do miasta, rzucając okiem na Wilenkę i Markucie, tak dobrze i tak mile pamiętne, oświecane dziś promionkami zachodzącego słońca. Już mnie szukały pani Adamowiczowa, niegdyś Ewa Zborowska, najmędrsza z moich uczennic, przyjaciołka pięknej i wysławianej Feli**). Byłem dla niej potrzebnem rozerwaniem w smutku nieutulonym po stracie jedynaka 12 lat, ucznia Krasińskiego, chłopca najradośniejszych nadziei. Wraz z domu Michela przenieśli moje rzeczy i mnie do Franka, gdzie sami mieszkają, i umieścili mię w gabinecie Jędrzeja Śniadeckiego, gdzie pracował i Bogu ducha swego oddał, zostawionym jak był za jego chlubnego i tyle nam pożytecznego życia swego. Z tego względu nie był mi nawet nieprzyjemny kościotrup, ożywający we chwytnej i czynnej imaginacyi mojej, stojący przy stoliku w tymże gabinecie. Pielęgnowany byłem jak dziecię, najmniejszej fantazyi mojej dogadzano. Wszystkie rozumy doktorskie umilknąć musiały przed gościnnością i troskliwością p. Ewy. Co tylko mnie smakowało, co tylko było wileńskie, chłodnik, poziomki ze śmietanką, groch itp. były mnie dozwolone. Nie było czasu do rozmów i wywczasowania się; trzeba było szykować zbiory skamieniałości podróżne, o nowe się starać. Kilku dniami przedemną Hofman gabinet mineralny wywiózł do Kijowa, same tylko odrzutki, pozostałości, okazywał mnie Jakowicki. Kilka ładnych sztuk tutejszych skamieniałości znalazłem u sędziego

*) Zofia z Malewskich Brochocka.

*) Malewskiego.

**) Felicya z Micewiczów Wilamowiczowa, opiewana przez Filaretów.

Bieszekierskiego i profesora Polińskiego. Z Górskim zwiedzałem Zakret i Ponary. Z księdzem Krasińskim Kojrany Łopacińskich, gdzie ksiądz Dębiński ma mineralny zbiorek. Zresztą sam na Snipiszkach, na górze Bekieszowej, dosyć tych szczątków istot zaginionych a osobliwie zoophytów wynalazłem. Tak, że w przeciągu kilku dni niezmordowanej pracy i wycieczek, przygotowałem do wysłania do Petersburga sztuk 250 razem z podróżnemi skamieniałościami. W tymże czasie odwiedziłem Jundziłła: starzec nieśmiertelny, równie jak był przedtem zdrowy ciałem i umysłem; Mianowskiego, Marcinowskiego, Homolickiego; wszędzie z największą przychylnością pożądany i przyjmowany byłem od tych przezacnych osób. Maryla *) też wyjechała na moje tu spotkanie do Wilna, ale ja niechcąc przeskakiwać kolei tylu różnych wrażeń ożywiających moje pamiątki i nadzieje, i mięszać je z uczuciami głębszemi i bardziej osobistemi, codziennie zlatywałem do niej tylko na chwilę w postaci osobistego listu. Ignacy **) już czekał mnie w Bolciennikach, nie zastawszy już tam Putkamerów. Musiałem i czuć i myśleć i poruczeniu mojemu czynić zadosyć galopem.— I dziwię się sam mojej niezmordowaności; i doktorowie czasem uważają stan ten nie cale zdrowiu mojemu bezpieczny. Rodziewicz bardzo był wdzięczny za ukłony i dzięki, sam jeden zawsze tenże pozostaje, jak duch domowy wśród murów zamienionych na turmę. — W dzień imienin najjaśniejszego pana przybył do Wilna, acz późno, na prezentacyą hr. Chreptowicz. Z najżywszą przychylnością wypytywał się o Franciszka, o trzy książki godne bibliograficznej ciekawości, drukowane podobno w Rzymie, które przez Malinowskiego przesłał dla niego. Tytułów ich wraz nie zapisawszy, dziś już wśród skamieniałości zapomniałem. Pokazywał mi róg (podług mnie jeleni), który chce mieć za tura, zwierzęcia dotąd problematycznego; wreszcie usilnie mnie zapraszał do Wiśniewa i Szczors, które odwiedzić życzę sobie. W dzień św. Piotra miałem rozczulający widok i niezwyczajny procesyi z cechami, chorągwiami, ordynkami zakonów tutejszych i mnóstwa księży w ornatach, czynionej od Franciszkanów kościoła najpierwszego w Litwie, do kościoła uniwersyteckiego i katedry, uroczysty obrzęd wstępowania szanownego księdza Kłągiewicza na biskupstwo wileńskie, pierwszy raz od Masalskiego czasów zajmowane urzędownie wedle papieskiego utwierdzenia. Dla ścisku niesłyszałem mów i kazań, ani do katedry wpuszczony byłem. Mimo tego, że mi potrzeba było jeszcze kilka dni dla obejrzenia miasta i jego okolić, musiałem mieć na względzie brata, który mnie oczekiwał, i niecierpliwość Maryi przyswojenia mnie sobie co prędzej. Ku wieczorowi zabrała mnie z sobą i Stasiem do karety i uwiozła z Wilna. Burza i grzmoty zaciemniły nieboskłon, deszcz ulewny przeszkadzał wysiadaniu i obejrzewaniu warstw ziemnych; całe siedm mil do Solecznik przestrzeni ich zniknęło w niewyczerpanych przypomnieniach i historyi czasu ubiegłego. Musiałem ja w rzeczach i osobach ukochać coś nieśmiertelnego, gdyż po przeciągu ćwierci wieku, nie znalazłem w nich żadnej odmiany, nawet z twarzy nie postarzały, przynajmniej w oczach moich. Może też tak widzę przez wdzięczność; albowiem wszyscy znajdują mnie równie przystojnym i młodym jak w pierwszej młodości. Nigdy ja nic nie myślę, nic nie twierdzę o jutrze; mówię to tylko zawsze, o ile podobna szczerze, o przeszłem i dzisiejszem.— Odpowiadam tylko za słowo i obowiązek, Bogu samemu powierzając roskosz i boleść uczuć i bytu mojego, którego wola nie może być czem innem tylko błogosławieństwem łaski jego lub sprawiedliwości. Wierzę już kochana Heleno, że mnie kochasz cokolwiek, Marya twierdzi że dużo. Ja kocham twoje dzieci. Ona już odrodziła się w ślicznej Zosi, która mnie śpiewała Wilią, także i Czeczotowe piosnki:

„Sztoż my waszeci skażem,
Prastyje z sieła dzieuczata;
Jakije piasenki świażem,
U nas mysl niebahata.

Ale jak myslim, czujem,
Tak tobie zaśpiewajem,
Tak tobie podziękujem,
Nieruzyności nieznajem.

Lisiczka żołty hrybok,
Slimaczkom nie bajesa,
Nietoczyć jeja czerwiaczok,
On u lesie zdarou błyszczysa.

Konik po polu dureje,
On kopy wozić i hrajeć;
Sałowiej charaszo pieje,
Samiczku k'sobie sklikajeć.

Budź jak lisiczka zdorowy,
Wiesieł jak konik przy trudzie,
Niech twaje pieśni i mowy
Jak sołowja hołos budzie."

Piosnkę tę posyłam Franciszkowi.

(D. n.)

*) Marya z Wereszczaków Putkamerowa.

**) Ignacy Zan, brat młodszy Tomasza, doktor.

RÓŻNE RZECZY.

Protest redakcyi Wieńca.— W Tygodniku Poznańskim (N. 30) z dnia 25 lipca, w przeglądzie pism i dzienników krajowych, znajduje się pomiędzy innemi kilkunasto-wierszowe sprawozdanie o *Wieńcu*, obejmujące cztery aż niedokładności czyli błędy.

Odczytawszy to sprawozdanie, pominęliśmy go milczeniem w tej nadziei: że Redakcya Tygodnika Poznańskiego czytując Wieniec, którego każdy wychodzący numer przesyłany Jej bywa najregularniej, w zamian za doręczany nam uprzejmie Jej Tygodnik, zechce choć później ze swego ramienia i obowiązku poprawić to błędne i lekkie sprawozdanie o naszem piśmie, które zapewne jakimś tylko wypadkiem wcisnąć się mogło w kolumny Jej poważnego Tygodnika. Tymczasem w miejsce tej spodziewanej poprawki, w Tygodniku Poznańskim z dnia 15go sierpnia (N. 31) wyczytujemy (z niemałem zdziwieniem) już wprost od samej Redakcyi, doniesienie o *Wieńcu*, i znowu podwójnie mylne! a to brzmi: „że w Wieńcu, Dwutygodniku wychodzącym w Krakowie, drukują się listy Tomasza *Jana* (zamiast Zana) do *Żony (?)*

Poczytujemy sobie więc za obowiązek oświecić dokładniej Redakcyę Tygodnika Poznańskiego, co do korespondencyi Tomasza Zana, jako dokumentu dosyć dla narodowej literatury i powszechności ważnego — i oraz prosić Ją, tak w interesie Wieńca jak i Jej własnym, ażeby na dokładność podobnych sprawozdań, więcej na dal zwracała uwagę, i nie umieszczała ich w swem piśmie bez pewnej z swej strony ściślejszej kontroli.

Listy Zana drukowane w Wieńcu, pisane są ręką jego z Orenburga nie do żony, lecz do różnych jego przyjaciół, a mianowicie: do Adama Mickiewicza, do Maryi z Wereszczaków Putkamerowej, do Franciszka Malewskiego, do Cypryana Daszkiewicza do hr. Chodkiewicza itd. Zbiór zaś tych listów oryginalnych w rękopisie, tej osobie od której my go posiadamy, udzielony został przez samą panią Tomaszową Zanową, z jej dopiskiem o pewnych szczegółach z życia męża.

Co zaś się tyczy sprawozdania lipcowego o Wieńcu pod tytułem z *Galicyi*, to prostujemy w sposób następujący: myli się sprawozdawca z *Galicyi* twierdząc, że *Wieniec* redagowanym jest li dla panien.

Z jakiejż daty? — czy może z owej przenośni, że Wieniec godłem jest dziewicy?.. treść bowiem wyszłych dotąd numerów Dwutygodnika naszego, zająć może tak niewiastę jak pannę dorosłą, a nawet obudzić w części i interes czytających mężczyzn opracowaniami w tym rodzaju, jak: życiorysy, wyjątki z Dyaryusza odszukanego w ratuszu krak.— Więźnie polityczni w Zamościu, — Listy Zana— Korespondencye z Warszawy— Przedwczesność— a i Polska w Obrazach, (którą to pracę szanowna Redakcya policzyła sama do *dobrych* Wieńca artykułów *). Myli się sprawozdawca z *Galicyi* po raz drugi, mówiąc: „że *Wieniec* jest pismem niejako uzupełniającem *Niewiastę.*“ — Wieniec bowiem jest pismo oddzielne samo w sobie, ma też i cel swój wytknięty, i nadzieję, że choć dziś wiele mu zapewne niedostaje, — szczere jednakże jego chęci, prace, i ciche a uczciwe dążności, z któremi niezwykł *w podrabianych korespondencyach* do zakrajowych dzienników sam się przechwalać — zostaną jednakże w swojem miejscu i czasie ocenione i uznane. *Niewieście* życzymy jak najlepszego powodzenia i sławy, o ile tylko na nię zasługuje — nie myślimy jednakże, ani poczuwamy się do obowiązku *uzupełniania* jej niedoborów, przypuszczając, że jako pismo liczące podobnoś rok trzeci swego istnienia, musi ona przecież mieć na tyle siły sama w sobie, że uzupełni to, czego jej może niedostawać. — Myli się sprawozdawca z Galicyi, mówiąc: iż „Wieniec wychodzi pod współredakcyą Gustawa Czernickiego. — Wydziałem jego w składzie Wieńca, były *recenzye teatralne*, po koniec miesiąca maja— odtąd zaś zastępuje go A. Goczałkowski; mimo tego cenimy pióro p. G. Czernickiego i z przyjemnością liczymy go zawsze do grona współpracowników naszych; dotąd otrzymał Wieniec od niego opracowanie pedagogiczne: *Przedwczesność* i poezyjkę: *W Imionniku synów Zana*, — obecnie przygotowuje p. G. C. biografię Zana, która po listach tegoż nastąpi w Wieńcu bezzwłocznie. — Myli się nakoniec sprawozdawca *z Galicyi* po raz czwarty, obdarzając nas współpracownikiem Ł. Sianiawskim— nie znamy i nie mamy literata tego imienia — zaś litery L. S., umieszczane pod niektóremi utworami w *Wieńcu*, zanadto znane są całej powszechności czytającej w kraju, jako podpis Lucyana Siemińskiego, zatem sprawozdawca chcąc już koniecznie bawić się w odgadywanie niewymienionych nazwisk, które szanując, nie mamy zwyczaju wywieszać naprzód jak szyldy wabiące przed zamkniętym jeszcze sklepem, — łatwiej *mu* już było jako obznajomionemu (ma się rozumieć) z literaturą, natrafić może na właściwe nazwisko, niż łamać sobie głowę nad wyszukaniem nieistniejącego. Dalej sprawozdawca z *Galicyi*, kiedy z taką ścisłością wylicza współpracowników wszystkich innych pism Krakowskich i Lwowskich, a nawet i takich, których istnienie należy już do przeszłości, dlaczegóż z Wieńcowych raczył tylko trzech wymienić — a i z tych jeszcze jedno mylnie?.. — Imiona umieszczone pod opracowaniami zasilającemi *Wieniec*, były potąd następujące: *Warszawa:* K. Pienkowski— Wład. Ch.—Mieroszewska L. G. z G. P. — Grzegorzewska — Borkowska— Szmigielska—Żmichowska (dotąd nie drukowano)— *Poznań:* Wilkońska P. — Moraczewska B.— *Paryż:* Krystyn Ostrowski — Ks. Rożyński. — *Kraków i Galicga:* Lucyan Siemiński — Łepkowski J. — Ksiądz Serwatowski W.— Czernicki G.— Pol W.— Hoszowski N.— Jenerał Załuski — Głębocki J. — Karol Załuski — Starzeński Le.— Kozłowski J.— Goczałkowski A.— Ludwika z Myślenic (Leśniowska) K. O. — Dwie młode polki — Warszauer E. — W. z L. S. — Goczałkowska J.

P. Turskiego trajedyi pod tytułem: *Skon Stanisława Augusta*, jak podobnież i komedyi p. Lubowskiego, uprzejmie ofiarowanych Wieńcowi, nie mogliśmy drukować dla powodów niezależnych od Redakcyi.

Teatr malowniczy Bergheera.— Pod tą nazwą mamy tu w Krakowie w umyślnie na ten cel postawionym i ozdobnie urządzonym teatrzyku, widowiska fizykalno-mechaniczne, przedstwiające dwa razy dnia: 1. Różne krajobrazy, widoki miast i sceny z życia. 2. Bitwy morskie i lądowe. 3. Linoskoki tancerze i sztuczne przemiany; wreszcie mechaniczne ruchome obrazy mgliste i chromotropy—wszystkie te obrazy i sceny naśladują tu z dokładnością i złudzeniem prawdziwe życie i wszelkie ruchy osób i tak np. W widoku przedstawiającym *Życie w Wenecyi*, biegnąca tam i napowrót ludność, krzyżujące się po kanale różnych kształtów i barw gondole, spotykania się i witania ze sobą spacerujących, z całą prawdą naśladują naturę.— Toż w *Krajobrazie zimowym*, ta szlichtada w ozdobnych sankach ciągnionych kłusującymi końmi · polowanie, gdzie strzelcy zbie-

*) Patrz Tyg. Poznański N. 20, z 16go maja.

rają się na stanowiska, z których czychając na przebiegającą zwierzynę między inną, strzelają i kładą trupem pięknego jelenia; — dalej chłopcy gonią się i ciskają gałkami śniegu na przechodzących, podczas gdy z obłoków lecą i gęstemi płatami śniegu,— tak jest łudząco prawdziwe, że potrzeba istotnie wmawiać w siebie, że tu się jest na przedstawieniu tylko — owe linoskoki i baletniki — owe automaty w rozliczne postacie w mgnieniu przemieniające się oka, obok strony komicznej mieszczą i utilitarną; bo tu mechanizm doprowadzony do najwyższego udoskonalenia. Według ogłoszenia — widowisko ma kończyć zawsze jaka bitwa morska lub lądowa. Dotąd widzieliśmy *bitwę pod Sebastopolem z zdobyciem wieży Małachowej*. Tu całkiem zgadza się przedstawienie z prawdą, bo widok miasta a w oddali morze z flotą stojącą na kotficach, ukazują się jakby we mgle, w brzasku porankowym — ta pobudka ranna dająca się słyszeć z porozbijanych obozów, i oraz poczynający się ruch i krzątanie obozowe, ten tylko ocenić sprawiedliwie potrafi, kto tego życia doświadczał.— Bitwa zaczyna się od małych pojedynczych patroli, potem utarczek konnych i pieszych, później występują masy rosyjskiej i sprzymierzonych piechoty — rozpoczynają ogień ręczny najdokładniej przez te automaty poruszające się utrzymywany, co wreszcie zamienia się w szturm i bombardowanie Sebastopola.— Tu gromy działowe, pękające rakiety połączone z odgłosem bębnów i muzyki wojskowej także, a w końcu wysadzenie w powietrze wieży Małachowy, tak przerażająco przedstawiają prawdę; że lubo nie jesteśmy zwolennikami tych rozlicznych wałęsających się po kraju łudzicieli grosza naszego: tu jednak sztuce oddać musimy sprawiedliwość i przyznać, że co tylko od techniki najdokładniej wydoskonalonej żądać można; to w tym malutkim teatrzyku znajdzie, jakby na dowód, jak daleko usilna praca w połączeniu z nauką doprowadzić zdoła!

MODY.

Rycina przedstawia: 1. Strój pokojowy czyli negliż elegancki-- szlafroczek z lekkiej tafty czarnej lub kolorowej, podszyty białą taftą, ubrany wszytkami z białej gipiury. — Krój *Gabryella* to jest stanik nieodcinany, ale z jednego ze spodnicą kawałka; otwarty na przodzie z wykładem z białą taftą i gipiurą. — Trzy białe taśmy spinają przód stanika zamknięty—zęby greckie z gipiury białej ku dołowi coraz większe, zdobią przód szlafroczka.— Rękaw *pagoda* otwarty, z wykładem ubranym gipiurą.—Koszulka z kołnierzem stojącym i krawatką. Spodnicę u dołu zdobią trzy plisy, jedna wszytka i dwie falbany karbowane.— Głowy ubranie czepeczek *Fanchon* z muślinu białego, haftowany, obszyty gładko gipiurą, — ubrany spodem dwoma rzędami kluczek ze wstążek nad włosami wywiniętemi— ten czepeczek jest przypięty dwoma złotemi podwójnemi szpilami z łańcuszkiem—włosy podpięte grzebykami z złota i kamyków odpowiednich.

2. *Strój balowo-kąpielowy.* Włosy z przodu lekko fryzowane i odwinięte na skroniach odsłoniętych; włosy warkoczowe tworzą sploty płazkie, ku tyłowi odrzucone, w górze fryzowane lekko spadają na dół w lokach — zdobi je w górze gałązka bzu białego z liściami, na warkoczu kachapeigne, zastępuje rezilla złota z koralikami, suknia biała z gładkiego muślinu, z takiemiż szarfami haftowanemi, podszytemi i garnirowanemi kolorową taftą. Suknia spodnia z białej tafty, stanik do gorsu, w pasie z przodu i z tyłu kończy się trochę w szpic — na szarfach rzutka haftowana w groszek, a końce bardzo szerokie suto haftowane —krzyżują się z przodu i z tyłu, — obszyte falbanką z tafty wykrawanej brzegiem — rękawy krótkie bufiaste, spodnica bardzo szeroka i z tyłu długa.

Środek na wywabienie z bielizny plam owocowych lub z czerwonego wina. — Nim plama zaschnie, zamoczyć ją w kipiącem mleku i pocierać—a potem w czystej wodzie.

Sposób farbowania na czarno, materyj wełnianych i jedwabnych. — Proporcya na ufarbowanie jednej popprutej sukni lub sztuczki na jedną suknię. Pół funta brezylii, za 1 cent koperwasu, nalać jednym garncem miękkiej wody lub deszczówki, i gotować tak długo, aż się część 4ta wygotuje, tojest: żeby płynu zostało tylko kwart 3, poczem postawić spokojnie, a gdy się podstoi, zlać czysto.— Rzecz przeznaczoną do farby (jeżeli tą jest *wełniana* materya), wyprać najprzód w letniej deszczówce, i z niej doskonale wyciśniętą i roztrzepaną, włożyć do tej czystej odcedzonej brezylii, i gdy namoknie, przystawić do ognia i gotować wolno, aż się zagotuje—poczem odstawić; a gdy wystygnie, wyrzucić na balię wraz z płynem brezyliowym, przeprać w nim dobrze materyę, wycisnąć rękami, potem wyszastać w zimnej deszczówce i powiesić, żeby obciekło i trochę przeschło — jeżeli wtedy ma już kolor dostatecznie czarny, to należy maglować wilgotno owinąwszy w płótno a nie w bawełnę— potem prasować na *prawej* stronie przez biały czysty papier. Jeżeli zaś po pierwszem gotowaniu, wyszastaniu w deszczówce i przesuszeniu, kolor nie będzie dostatecznie czarnym, to powtarzać póty gotowanie w farbie materyi, płukanie za każdym razem w zimnej deszczówce, a po wyciśnieniu przesuszanie, dopóki się pożądanej czarnej barwy nie otrzyma— a potem dopiero maglować i prasować; bo niektóre materye łatwiej, inne zaś z większą trudnością przyjmują farbę. Naczynie do tego najlepiej używać gliniane, bo drewniane zaczerni się na zawsze,— maglując i prasując uważać, żeby się nie dotknęło perkalu lub tp. bawełny, bo się obierze w białe kudełki;— ręce po farbowaniu napuścić cytrynowym sokiem, a potem myć. Jeżeli się farbuje materyę jedwabną, wstążki, korunki lub tiule, postępuje się tak samo jak powyżej, tylko z tym wyjątkiem, że się ich nie magluje wcale — a prasować je trzeba o wiele wilgotniejsze jak wełniane.

Jeżeli przenoszone czarne rzeczy chce się tylko odświeżyć, to dosyć przeprać je w letniej deszczówce, wycisnąć, i namoczywszy w płynie brezyliowym, raz lekko zagotować.

Do dzisiejszego Numeru dołączają się tablice haftów i krojów damskich, oraz ryciny mód paryzkich kolorowane dla tych, co się na nie abonowali.

GOCZAŁKOWSKA JULIA Redakt. odpowiedz.— Nakład Redakcyi.— Druk „Czasu“— Rząd. drukarni ANT. ROTHER.